

Drapieżcy

Drapieżcy

Rozdział IV SIERPIEŃ

Umiarkowany powiew zniósł bielika na wschód. Jakiś czas poddawał się wiatrowi, by po przekroczeniu krawędzi jeziora wzlecieć wyżej. Jego szerokie skrzydła uderzały wolno, ale miarowo. Wkrótce, odzyskawszy teren, znów szybował zataczając kręgi.

Przepatrywanie łowiska wzbudzało czujność ptactwa w dole. Wszyscy wiedzieli, co pojawienie się kołującego na tle nieba birkuta oznacza. Zniknął w trzcinach perkoz wiodący młode, bliżej oczeretów przesunęły się grążyce. Woda - jeśli nie liczyć buszującej pod brzegiem pary nurów - opustoszała. Teraz jednak ptaki wodne mogły być spokojne. Orła zaciekawiło skupisko kruków nad lasem. I tam właśnie pozwolił się przesunąć podmuchom wiatru.

Gdy zniżył lot, kruki, już schodziły między drzewa. Również towarzyszący im myszołów zniknął w prześwitach koron. U podstawy brzoź rozpoczynała się uczta. Parcelowano świeżą padlinę lisa. Widok zachęcający i może byłby się zdecydował przejąć ofiarę, lecz uniemożliwiła to ciasna przestrzeń nad ziemią. Same kruki z trudem manewrowały pośród gałęzi, a cóż dopiero on, bielik - okazalszych rozmiarów i nie tak zwrotny. Chcąc niechcąc wypadało z tej okazji zrezygnować. Kilkakrotnie energiczniej uderzył skrzydłami i ponownie nabrawszy wysokości ruszył ku zachodowi.

W przesyconym wonią żywicy powietrzu rozbrzmiewały rechoty żab z mijanych mokradeł. Niezbyt silne i w miarę zbliżania się do pól za lasem ustępujące monotonnemu graniu świerszczy. Birkut powoli okrążył wrzosowiska, by wreszcie przysiąść na wysuniętym konarze jesiona. Odpoczywając uważnie przepatrywał okolicę.

Lecz czas mijał i nic nadzwyczajnego się nie działo. W wysokich trawach przemykały jedynie drobne ptaki, a na wygrzewającą się w słońcu jaszczurkę bielik nawet nie zwrócił uwagi. Ożywiła go dopiero zwierzyna grubsza. Zeskoczył z drzewa i pognął za migającym we wrzosach omykiem. Szarak spostrzegł zagrożenie trochę późno, ocalając skórę gwałtowną woltą. Rozpędzony napastnik zdołał tylko otrzeć szponami zajęczy bok. Dalsze ściganie mijało się już z celem. Uciekiniera skrył gęsty żarnowiec. Zniechęcony chybioną szarżą birkut poszybował z powrotem nad jezioro.

Nowe miejsce czuwania lepiej chroniło przed słońcem. Nadto w pobliżu starego gniazda, gdzie obecnie przysiadł, miał jeden z ulubionych punktów obserwacyjnych. Stąd blisko i do czaplińca, i do wschodniej części otwartej wody z wypłaceniem przyciągającym grążyce. Zwłaszcza łyski trzymały się tych stron. A nieco dalej - kormorany. Tu zawsze mógł liczyć na pewny żer. Pewny i pozyskiwany małym nakładem sił.

Niespodziewane nadciągnięcie orła zaniepokoiło okoliczne ptaki. Szczególnie pomieszkujące wśród sosen. Umilkł dzięcioł, niżej wzdłuż pnia zbiegł kowalik, szpikulcowatym dziobem wydłubujący larwy i poczwarki ze szczelin kory. Lecz wkrótce wszystko wróciło do normy. Nieruchoma sylwetka bielika przestała budzić podejrzenia. Zresztą tyle działo się wokół. Choćby uciezka krogulca nękanego przez stado świergocących pliszek. Ten drapieżca zagrażał leśnym ptakom bardziej.

Bielik nie spuszczał oczu z płycizny. Równolegle do trzcin i w niewielkich odstępach, choć na ogół

wymieszane, taplały się spore gromady kaczek. A prócz czernic, głowienek i krzyżówek, którym nie przeszkadzała obecność łabędziej pary, ujrzał też chruściele z białymi plamicami nad dziobem. Te ostatnie, rytmicznie kiwające głowami, co rusz nurkowały - nie bez trudu wbijając się w wodę z małych i często wznawianych podskoków.

Rozproszenie łysek wyglądało obiecująco. Powoli selekcionował je wzrokiem, zwłaszcza osobniki młode i nurkujące w oddaleniu od reszty. Jeden niepokąźny chruściel mógł zaspokoić głód do wieczora. Byle wypad powiódł się za pierwszym razem, bo znów będzie musiał zmieniać łowisko.

Uwaga poświęcana czarnym ptaszkom szybko wygasła, gdy nad płycizną pojawił się konkurent. Białe spód ciała oraz wąskie, lekko wygięte skrzydła nie pozostawiały wątpliwości - na polowanie wyruszył także rybołów. A zatem, co podnieciło bielika, być może da się uniknąć męczącej pogoni za łyką. Ofiarę dostarczy mu przybysz! Grążyce, rozpoznawszy drapieżcę, zignorowały jego obecność. Przybysz, o czym wiedziała każda kaczka, interesował się wyłącznie rybami, Birkut był już w powietrzu. Tymczasem rybołów, po zatoczeniu koła, zawisł w trzepoczącym locie nad płycizną, by w chwilę później runąć w dół z wyciągniętymi do przodu szponami. Niestety, ku rozczarowaniu obu drapieżników, pochwycony lin wyrwał się i spadł między przybrzeżne drzewa. Nadlatujący od południowego wschodu bielik zawrócił. Jeszcze nie wszystko stracone. Skoro dotąd nie wypatrzyły go kaczki mogące ostrzec konkurenta - czemu zapobiegł podejściem od słońca - winien zaczekać w górze, Rybołów ponowi próbę. A wtedy drugiej szansy on, birkut, nie przepuści.

Tak też się stało. Mniejszy od orła drapieżca znów zawisł nad wodą w trzepoczącym locie. I niebawem dźwignął ofiarę następną, znacznie większą - karpia. Tym razem bielik nie pozwolił wynieść łupu nad ład. Niczego nie podejrzewający rybołów akurat nabierał wysokości, gdy spotkała go przykra niespodzianka. Zaatakowany ukosem z góry wypuścił zdobycz. Impet starcia zachwiał i jednym, i drugim. Ale prędko od siebie odskoczyli. Obrabowanemu nie pozostało nic, prócz ucieczki.

Również grążyce przeoczyły pikującego birkuta. Strwożone zamieszaniem podniosły rwetes. Lecz spóźniony wrzask wodnych ptaków niewiele bielika obszedł. Niżej, wśród rzadkich trzciny niedaleko brzegu, miotał się posilek. I tylko on wart był zainteresowania.

Apetyczny, tłusty karp. Wylądowawszy przy ofierze dobił ją paroma uderzeniami dzioba. Następnie, gdy znieruchomiała, wywłócił z płycizny na brzeg. Padlinożercy pozostawili birkutowi ledwie kilka minut spokoju. Ale i to wystarczyło. Zdążył się nasycić jeszcze przed ich przybyciem. Pierwsza wypatrzyła biesiadującego kania. Potem wrona siwa. Za nimi nadciągnęły mewy i wkrótce w powietrzu zaroilo się od natrętów. Bielik porzucił w jednej trzeciej rozdziobaną zdobycz, dając tym sygnał następnym w kolejce. Między skrzydlatymi niecierpliwcami natychmiast rozgorzały walki. Rozleniwiony uczuciem sytości kołował pewien czas nad granicą wody i lasu. Ułatwione wstępującym prądem szybowanie zdryfowało go bliżej zatoki. Wreszcie obniżył lot i usiadł na gałęzi olchy.

Długo jednak nie odpoczywał. Wróciła chęć kąpieli. Wprawdzie do południa było jeszcze daleko, ale nawet cień nie chronił już przed rosnącym skwarem. Rozwinął więc skrzydła i ślizgiem przeskoczył trzciny, lądując bezpośrednio na wodzie.

Taplanina przeciągała się aż do zmoczenia wszystkich piór. Z lubością trząsł to jednym, to drugim skrzydłem - uderzając nimi o powierzchnię, podrywał się i przebierał nogami. Towarzyszący rozbryzgom wody hałas ucięło dopiero zmęczenie. Z pewnym trudem dźwignął się w powietrze i poleciał na zachód.

Od czasu pęknięcia tamy dzielącej niegdysiejszy staw z jeziorem rzadko odwiedzał tę strefę. Błotnista niecka po stawie zdążyła całkowicie zarosnąć - głównie skrzypem i kosaćcem. W bujnej

zieleni ginął też strumyk. Wątła struga meandrowała aż do słupków dawnej śluzy. I właśnie na jednym z nich przysiadł, oddając się starannemu porządkowaniu piór.

Jedno ze skrzydeł leżącej na grzbiecie czapli drgnęło ostatni raz. Birkut rozejrzał się i nie widząc w pobliżu niczego, co mogłoby zakłócić ucztę, oczyścił z piór pierś ofiary. Prosta sprawa. Wystarczyło kilka niedbałych ruchów dziobem.

Pierwsze kęsy zawsze smakowały najlepiej. Zwłaszcza tę z okolicy mostka. Uderzał i wyrwał kawałki mięsa energicznymi szarpnięciami, przytrzymując zdobyczą łapą. Rozszerzająca się wyrwa parowała w chłodnym powietrzu ranka.

Zasycony największy głód zwolnił trochę. Obok przemknęły łabędzie, hałaśliwie lądujące wśród oczeretów. Poza tym spokój. Jeśli nie liczyć kołującego nad trzcinami błotniaka, który wkrótce też zniknął. Także od strony lasu panowała cisza. Nie rozdzielał dalej piersi ofiary, zadowolając się mięsem wokół odsłoniętych kości. Hakowały dziob z łatwością wycinał przy okazji i ścięgna, i chrząstki. Wprawdzie młodociana czapla nie miała jeszcze tej masy, co dorosła, ale i tak niebawem najadł się do syta.

Rzeźkie powietrze niesło coraz wyżej. Zatoczył obszerny krąg wokół czaplińca i powoli przesunął się nad południowoschodnią część jeziora. W dole, wzdłuż wiatrołomów, krążyły kruki. Ich podniecenie wskazywało na to, że coś wypatrzyły. Jednak birkut, zwykle korzystający z podobnych sytuacji mając za sobą udany łów - tym razem zlekceważył wskazówkę. Poszybował dalej, by przysiąść i wypocząć w odosobnieniu. A takie dawała ulubiona olcha.

Drzewo z uschniętym konarem trochę przypominało te znad północnej zatoki. Usytuowane bezpośrednio przy trzcinach i wychylone szczytem ku wodzie mogło zadowolić każdego. Głównie dzięki dobremu widokowi na jezioro. Lecz i maskujące od południa gałęzie miały znaczenie. Siadający natychmiast wtapiali się w zielone tło. A o powodzeniu stanowiska najlepiej świadczyły liczne ślady szponów na korze. Także wyschnięta krew i łuski. Bowiem olchę często odwiedzał rybołów, właśnie tu posilający się upolowanymi ofiarami.

Coraz rzadsze opary rozsnuwał wiatr. Zmarszczona powierzchnia jeziora mieniła się w słońcu, przyciągając wzrok bielika. Jego roztargnione spojrzenie wędrowało od zafalowania do zafalowania, by w rezultacie utkwąć na dryfującym liściu turzycy. Po jakimś czasie apatia ustąpiła. Zeskoczył z olchy i nabrawszy prędkości dosyć szybko wzbił się nad las. Lecz długo w powietrzu nie przebywał. Coś z powrotem ściągnęło go ku ziemi.

Zmienne nastroje męczyły bielika od rana. Właściwie już przebudził się nieswój, pozwalając zapanować nad sobą narastającemu rozdrażnieniu. Trochę uspokoiło skuteczne polowanie, ale znów brały górę emocje. Trzy razy pod rząd startował z tej samej olchy, bez celu zataczając kręgi nad wodą. Wołał przy tym chrapliwie, a jego nabrzmiały nieokreśloną skargą głos niesło aż na przeciwny kraniec jeziora. Po czwartym starcie na olchę nie wrócił, wysoko uniesiony wstępującym prądem. Byłby zapewne kontynuował powietrzną wspinaczkę, gdyby nie nadciągający od zachodu chłodny front. Zderzywszy się z zimnem obniżył pułap i poszybował na północ.

Tor lotu przypominał rozciągniętą w dół spiralę. Birkut krążył wolno, z szeroko rozstawionymi skrzydłami, jedynie od czasu do czasu korygując kurs nieznacznym ruchem sterówek. Niżej kołował myszołów. A za północnym brzegiem lasu, rozjaśnionym plamami żółknących brzoź, żwawiej nieco przemykali mniejsi powietrzni drapieźcy. Zwłaszcza ucieczka grzywacza przed jastrzębiem przykuwała uwagę. Lecz bielik ujrzał coś jeszcze, W prześwitach drzew mignęła sylwetka człowieka. Niemal w tej samej chwili usłyszał huk i poczuł od spodu uderzenie.

Grad ołowianych śrucin, którego główna wiązka przeszła obok., rozrzucił pióra na brzuchu i prawym skrzydle. Birkut, nagle utraciwszy równowagę, zaczął spadać. Jednak tuż nad ziemią udało się przewyciężyć bezwład i częściowo rozciągnięte skrzydła osłabiły twarde lądowanie. Runął dziobem w trawę. Mimo oszołomienia wstał prawie natychmiast. Lecz nie powiodły się pierwsze próby wzlotu. Prawe skrzydło rozwierało się jedynie do połowy. Rozciąganie dalsze hamował ból. Tym bardziej przy energiczniejszym trzepocie.

Z rany sączyła się krew. Kilka śrucin przebiło podskrzydłowe pokrywy, grzęznąc na kościach przedramienia. Stracił też sporo lotek. Nie ucierpiał za to brzuch - impet śrutu zamortyzowały jego miękkie pióra. Serce tłukło się jak oszalałe. Dyszał ciężko i przestępował z nogi na nogę, a rosnący strach tylko wzmagął dezorientację. Lęk spotęgowały Jeszcze głosy człowieka oraz psa, Byli na łące, niedaleko. Zwłaszcza pies, którego natarczywe szczekanie obwieszczało kierunek poszukiwań. Obaj prześladowcy zbliżali się od lasu.

I właśnie ów dodatkowy lęk poderwał orła w powietrze. Choć start utrudniała, prócz rannego skrzydła, wysoka trawa. Leciał nierówno tuż nad łąką. Aby dalej od ścigających. Po kilkudziesięciu metrach skrzył obszernym łukiem na wschód. Intuicja podpowiadała, że winien opuścić otwartą przestrzeń i skryć się między drzewami. Cóż, skoro sił starczyło ledwo na to, by wylądować na niskiej jarzębinie. Z rozkołysanego ciężarem drzewka spadła kiść czerwonych owoców. Bielik chwilę chybotął się na gałęzi, nie mogąc utrzymać równowagi. Dopiero znieruchomiały przyjrzał się nogom. Lewa stopa krwawiła, pozbawiona dwóch z czterech palców - w tym kciuka, który decydował o pewności chwytu. Przeoczył tę ranę wcześniej. Jak i utratę części sterówek. Pobieżne oględziny przerwało ujadanie nadciągającego czworonoga. Dotarł za orłem aż pod drzewko. Trochę większy od tumaka kundel obszczekiwał jarzębinę zajadle i głośno. Lecz nie tyle on niepokoił birkuta, co towarzyszący mu człowiek. Wkrótce mógł nadejść.

Nie bacząc na ból przedramienia zeskokczył z gałęzi. Pies, zdeprymowany widokiem rozłożonych skrzydeł drapieźcy, cofnął się i podkuilił ogon. Odwaga wróciła, gdy ścigany zniknął z pola widzenia. W końcu udało się birkutowi nabranie wysokości. Przemknął nad krawędzią lasu, kierując się w stronę jeziora. Jego chybotliwy lot, w każdej chwili grożący ponownym runięciem, i teraz nie trwał długo. Prawie upadł na wierzchołek jodły, która górowała między szczytami sąsiednich drzew. Szarpiące pulsowanie przedramienia nasiliło się. Chyba zgubił prześladowców, jednak nie czuł się bezpieczny. Z tej wysokości widoczna jeszcze łąka nadal niepokoiła. Zebrawszy siły ruszył dalej. Obawa przed runięciem ustała, gdy trafił na wstępujący prąd. Zauważył wówczas, że po przejściu z lotu aktywnego na szybowcowy ból skrzydła łagodnieje. A zatem może panować nad sytuacją. Byle nie używał do utrzymywania się w powietrzu mięśni. Pokrzepiony tym odkryciem jakiś czas kołował nad leśną polaną, z wolna nabierając wysokości. Nieco wyżej grasowały już wiatry północne. Poddał się im bez sprzeciwu, by wkrótce osiąść w jednym z najbezpieczniejszych miejsc - swoim zapasowym gnieździe wśród starych sosen.

Dopiero tu znękanego birkuta począł opuszczać lęk. Prześladowcy zostali daleko za plecami, a znajome kąty i cisza niosły ukojenie. Kołaczące serce zwolniło rytm, wyrównał się też oddech. Łapa przestała krwawić. Zresztą jej ból w porównaniu z rwaniem przedramienia był znikomy. Ostrożnie rozwarł uszkodzone skrzydło i przecesał dziobem okrwawione, lotki. Spod piór pokrywy wypadła dotąd jeszcze tkwiąca tam śrucina.

* * *

Kłęby mgielnych oparów - prześwietlone już słońcem od góry, ciemniejsze nad wodą - łączyły się i rozdzielały, tworząc miejscami długie prześwitki o lepszej widoczności. Czasem dało się w nich coś zobaczyć: liść grążela albo pałkę wodną na tle rozmytych trzcin. Lecz nie mijała chwila i widok

znikał, by nagle pojawić się w innym rejonie. Równie krótko i tak samo niewyraźnie.

Śledzący ruch mgieł bielik nadal cierpliwie czekał. Niebawem opary powinny się rozsunąć, a wtedy zapoluje. Tego ranka zaspokoi głód. Musi. Wszak wczorajszy dzień był kiepski. Jeśli pominąć odbitą mewie ukleję, nie złowił nic. Zbliżonymi rezultatami zamykały się i wcześniejsze dni. Jakieś truchło kreta, jakiś mięczak, śnięta płoć, marne resztki zdobyczy i krogulca i na tym koniec. Nieustannie czuł w żołądku ssanie.

Rany po odstrzelonym kciuku i środkowym palcu zasklepiły się. Musiał! tylko uważać na ucisk. Przy silniejszym - jak choćby teraz, gdy siedział na konarze - lewą stopę przeszywał dokuczliwy ból. Zapobiegał temu! przerzucając większy ciężar ciała na stopę prawą. Znacznie gorzej wyglądało uszkodzenie skrzydła. Początkowo rana w ogóle nie chciała się goić. Przedramię, zwłaszcza okolice nadgarstka, spuchły. Obolałe miejsce jątrzył tkwiący pod skórą śrut. Co prawda dwie ołowiane kulki; wypadły samoistnie podczas wznawianych prób lotu już następnego ranka, lecz ostatnia, usadowiona głębiej, omal nie doprowadziła do zakażenia. Szczęśliwie w porę ją wyłuskał. A właściwie wytrącił, wciąż manewrując dziobem wokół rany. Dopiero wtedy obrzmienie poczęło z wolna ustępować. Minęły też silniejsze bóle.

Jeden z mgielnych prześwitów rozwarł się szerzej. Na odkrytym pasie wody przed oczeretami mignęła sylwetka kaczora krzyżówki. W pobliżu musiały krzątać się także inne ptaki. Świadczył o tym rosnący gwar. Orzeł czujniej uniósł głowę. Serce przyspieszyło rytm. Nawet nie widząc przez opary doskonale wiedział, gdzie są. Płynęły wzdłuż trzciny, od wschodu. Dokładnie takiej okazji wyczekiwał. Zaatakuj tego kaczora poza grupą. I uderzenie musi powieść się za pierwszym razem. Ewentualną dłuższą gonitwę wyklucza osłabione skrzydło. Czyli jeden udany atak, albo... kolejna klęska. Wiedział o tym aż nadto dobrze.

Wykorzystując sprzyjającą zamysłowi mgłę zeskoczył z gałęzi i poszybował nad trzcinami. Kaczor nie mógł odpłynąć daleko. Byle nie przeoczyć najlepszego momentu. Wreszcie dojrzał cel. Był tuż tuż - na przedłużeniu linii lotu. Bez wahania ściągnął skrzydła i natarł ukosem z góry. Niestety, znów fiasko. Wprawdzie udało się ofiarę dopaść, lecz uszła. Zawiodły szpony - ich słaby chwyt. O powtórce ataku nie miał co marzyć. Rozhisteryzowane kaczki pierzchły, a i nadwyreżone skrzydło odmawiało posłuszeństwa. Jak niepyszny wrócił na przybrzeżną olchę. Chwila odpoczynku wystarczyła. Rozgrzany polowaniem wystartował, jeszcze raz. Może spotka lepszą szansę na wschodzie. Tam wrzask przerażonych kaczek nie dotarł. Rzednące opary odsłaniały wciąż większe połacie wybrzeża i wody. Starał się lecieć nie ożywiając pulsującego bólu w uszkodzonym skrzydle. Jeśli będzie szybował bez gwałtowniejszych zrywów, utrzyma się w powietrzu dłużej.

Wilka dostrzegł z daleka. Ujrzał, ale nie rozpoznał. Początkowo wydawało mu się, że to lis. Mgła nadal deformowała obrazy. Zresztą nawet i przy dobrej widoczności mógł basiora pomylić z jakimś drobniejszym czworonogiem. Siedzący na brzegu chudzielec pożerał rybę. A zmierzwiona sierść i sterczące żebra włóczęgi nie budziły respektu. Jednak - widząc ostrzegawczo obnażone zęby - zawahał się i zrezygnował z już podejmowanej próby odbicia zdobyczy. Musi szukać dalej. Nowa okazja posiłku zjawiała się dopiero na wschodnim wypłyeniu. W lokalizacji pomógł stos pustych skorup małży między trzcinami: widomy znak obecności piżmaka. Gryzoń, akurat zajęty rozłupywaniem powłok skorupy. szczeżui, do ostatniej chwili nie dostrzegł zagrożenia. A gdy ujrzał, było za późno. Bielik wręcz na nim usiadł, wduszając zdrową stopą w piach.

Rozparcelowanie wywleczonej na brzeg ofiary nie trwało długo. Jeszcze z mokrym od krwi dziobem wrócił do wody po rozłupaną szczeżuję. Nie mógł pogardzić mięsem małża. Liczył się teraz nawet najmniejszy kąsek. Przegrzebawszy pozostałe puste skorupy ruszył pieszo na południe. Szedł i mocno kołysał się na boki, szorując wodę lotkami nienaturalnie zwieszzonego skrzydła. Mógłby je

podciągnąć, ale każde napięcie mięśni niosło przykre rwanie. Wystarczająco męczył się z lewą stopą. Przypominała osobie na byle nierówności dna.

Plusk towarzyszący brodzeniu orła słyszano i w pobliskim lesie. Na bezpieczną odległość przezornie odsunęły się żerujące grążyce, zmykały drobne ryby. Nie zważał na to. Teraz interesowały drapieżcę wyłącznie młode żabki wodne. W pozyskiwaniu łatwiejsze, chociaż i z tym miał spory kłopot. Maleństwa potrafiły niezłe skakać. Raz po raz chybiał dziobem lub za susami żywotnych płazów po prostu nie nadażał. Mimo wszystko w sumie upolował kilka sztuk. Okaleczona stopa rozogniła się. Dalsza gonitwa mogła tylko pogorszyć jej stan. Nieco zwłócząc odstąpił od łowów, gdyż utarczki z żabim drobiazgiem powoli zaczynały go wciągać. Skoro pozyskanie większej zdobyczy nie wychodziło, chętnie byłby tu jeszcze pozostał. Cóż, może wróci później.

Zwykle wzbijał się bezpośrednio z wody. Teraz jednak nie zaryzykował. Ostrożnie wyszedł na suchy ląd, rozglądając się za korzystniejszym miejscem startu. Znalazł takie trochę dalej; pod nawisem osiki. Wszedł tam, obrócił się ku brzegowi i z krótkiego rozpadu, ciężko łopocząc, uniósł się w powietrze. Okupiony bólem start zniechęcił do patrolowania południowych obrzeży jeziora. Wzbił się wyżej wyłącznie po to, aby resztę trasy pokonać z nieruchomo rozciągniętymi skrzydłami.

Wypoczynkowa olcha wkrótce przywróciła nadwątloną energię. Poprawił się też nastrój bielika. Były ku temu powody. Wszak zjadł tego ranka więcej, niżli w ciągu ostatnich paru dni. Z rosnącą ciekawością rozejrzał się dookoła. Słońce stało już wysoko. Rozproszyły się resztki mgielnych oparów. Brzegiem lasu odlatywała na południowy wschód kukułka. Zresztą nie tylko ona. Zniknęły także trzciniaki, bączki i rybitwy. O nadciągającej jesieni świadczyło również gromadzenie się w duże stada młodych i starych łysek - ulubionych ofiar birkuta. Poranny ziąb z wolna ustępował. Niebawem zrobiło się gorąco. I właśnie ów skwar wytrącił orła z leniwego bezwładu. Zamarzyła mu się kąpiel. Zeskoczył z gałęzi i rozłożywszy skrzydła pomknął lotem ślizgowym w głąb zatoki.

Rozerwana piersią powierzchnia wody bryznęła rozpraszającymi strugami. Taplał się, otrząsał i podskakiwał, płynąc jednocześnie w stronę płycizny. A osiągnąwszy ląd prawie z marszu wystartował w powietrze. Poderwał się i ... spadł. Moment nieuwagi. Na chwilę zapomniał o urazie przedramienia. Jedno zbyt mocne targnięcie i natychmiast skarcony został przeszywającym bólem. Gdy oszołomienie minęło, brodząc wrócił na brzeg. Teraz postępował rozważnie. I przede wszystkim się nie spieszył. Przy okazji obsychały pióra. Druga próba była przeciwstawieniem pierwszej. Wystartował miękko, z drzeniem o to, że za chwilę runie znów. Lęk minął po domknięciu kręgu nad zatoką.

Lecz prawdziwie odetchnął w górze, dźwigany wstępującymi prądami. Dopiero wówczas zelżało pulsujące rwanie prawego przedramienia. Krótco potem zapomniał i o bólu. Odczuwał jedynie rozkosz, jaką dawały; pęd, niczym nieskrępowana przestrzeń i słonawy zapach północnego wiatru.

Lech M. Jakób

*Bielik, wilk i szczupak - wszyscy bohaterowie powieści - spotkali się w Zatoce Spokojnego Żeru. Zakończenie powieści, wspólne dla wątków trzech drapieżców, opublikowane zostało w „Dzikim Życiu” z września 1998 r.
Powieść przygotowywana jest do druku przez oficynę wydawniczą MULTICO.*